



**Bractwo Gwarków
Związku Górnośląskiego**



***Poczet Gwarków Śląskich
Zeszyt 1***

Wilhelm Szewczyk

HANYS
Poemat

**Wydawnictwo Górnicze Sp. z o.o.
Katowice 2009**

O wydawcach:

Bractwo Gwarków

Inicjatywa powstania Bractwa Gwarków zrodziła się w maju 2008 r. U podstaw działania Bractwa – podobnie jak całego Związku Górnośląskiego – leży obrona wartości kulturowych i cywilizacyjnych Górnego Śląskiego. Bractwo promuje tradycje i zwyczaje górnicze oraz podejmuje rzeczową obronę interesów polskiego górnictwa.

Wydawnictwo Górnicze

Wydawnictwo Górnicze istnieje od 1994 roku i jest wydawcą następujących czasopism i portali:

- **„Trybuny Górniczej”** – tygodnika społeczno-gospodarczego środowiska górniczego,
- **„Wiadomości Górniczych”** – miesięcznika naukowo-technicznego prezentującego problematykę techniki, ekonomiki i organizacji w górnictwie,
- **„Budownictwa Górniczego i Tunelowego”** – kwartalnika naukowo-technicznego prezentującego zagadnienia budowy i wykorzystania górniczych obiektów podziemnych, infrastruktury i obiektów komunikacyjnych,
- **„Karbo”** – kwartalnika poświęconego tematyce chemicznej przeróbki węgla, koksownictwa oraz użytkowania i przetwórstwa węgla,
- **www.nettg.pl** – portalu tematycznego, który przedstawia informacje dotyczące nie tylko górnictwa, ale także jego naukowego i technologicznego zaplecza oraz informacje o energetyce, koksownictwie, hutnictwie, ekologii, kulturze i regionie,
- **ogrzewaniemieglowe.pl** – wortalu, na którym znajdują się informacje na temat węgla, technologii spalania, układów CO i CWU, programów ograniczania niskich emisji.

Wilhelm Szewczyk

HANYS
Poemat

Poczet Gwarków Śląskich – cykl wydawniczy
Bractwa Gwarków Związku Górnośląskiego
i Wydawnictwa Górniczego.

Poczet Gwarków Śląskich traktuje o rozwoju przemysłu
na Śląsku i służy celom edukacyjnym
oraz popularno-naukowym.

Wszystkim instytucjom i osobom Bractwo Gwarków składa
serdeczne podziękowania za finansowe wsparcie niniejszego
wydawnictwa.

Zespół Programowo-Redakcyjny zeszytu:

1. Zygfryd Nowak – redaktor i koordynator cyklu wydawniczego
2. Piotr Buchwald – członek Zespołu
3. Józef Dubiński – członek Zespołu
4. Czesław Koczorek – członek Zespołu
5. Jacek Korski – członek Zespołu
6. Jerzy Mańka – członek Zespołu
7. Zygmunt Pawłowski – członek Zespołu
8. Witold Pustułka – członek Zespołu
9. Zygfryd Skrzypek – członek Zespołu

**Bractwo Gwarków
Związku Górnośląskiego**

***Poczet Gwarków Śląskich
Zeszyt 1***

Wilhelm Szewczyk

**HANYS
Poemat**

**Zygryd Nowak
redaktor zeszytu**

**Wydawnictwo Górnicze Sp. z o.o.
Katowice 2009**

Redakcja
Beata Legomińska

Projekt okładki
Beata Legomińska
Katarzyna Pacan

Korekta
Renata Mordak

Skład i łamanie
Katarzyna Pacan

Wydawnictwo Górnicze Sp. z o.o.
ul. Plebiscytowa 36, 40-041 Katowice
tel.: 032 757 21 42, 032 757 21 43, 032 757 23 77
faks: 032 757 20 43
wydawnictwo@gornicza.com.pl
www.gornicza.pl
www.nettg.pl

**©Copyright by Wydawnictwo Górnicze Sp. z o.o.
Katowice 2009**

ISBN 978-83-924358-2-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment tej książki nie może być kopiowany, przechowywany w jakimkolwiek układzie pamięci albo transmitowany elektronicznie, mechanicznie, za pomocą fotokopii, nagrań albo w jakikolwiek inny sposób, bez wcześniejszej pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie trzecie
Nakład: 1000 egzemplarzy
Druk: Drukarnia Kolumb, Katowice, Siemianowice Śl.

Od Zespołu Programowo-Redakcyjnego

*„Człowiek bez korzeni i szacunku dla swojego dziedzictwa
nie jest w stanie budować przyszłości”*

Wilhelm Szewczyk

Słowa jednego z najwierniejszych synów Śląska – Wilhelma Szewczyka, piewcy Śląska i jego gwarków – przyczyniły się do tego, iż członkowie Zarządu Bractwa Gwarków Związku Górnośląskiego podjęli decyzję o realizacji mojej inicjatywy – przedstawienia zdarzeń i ludzi, którzy swoim życiem i pracą służyli śląskiej ziemi i jej mieszkańcom, przyczyniając się również do rozwoju i dobrobytu całej Polski.

Tak urodził się długofalowy projekt Bractwa pt. *Poczet Gwarków Śląskich* – cykl wydawniczy i jedna z wielu form realizacji jego statutowych obowiązków „*prowadzenia działalności z zakresu kultury (w tym działalności wydawniczej), sztuki, ochrony dóbr kultury i tradycji, a także działalności popularyzatorskiej i podtrzymywania tradycji narodowej i regionalnej oraz rozwój świadomości obywatelskiej i kulturowej*”.

Cykl wydawniczy *Poczet Gwarków Śląskich* zestawiony w postaci samodzielnych zeszytów będzie:

- stanowić swego rodzaju antologię publicystycznej działalności związanej z rozwojem górnictwa na Górnym Śląsku od najdawniejszych lat,
- przedstawiać sylwetki najciekawszych, zasłużonych postaci śląskiego górnictwa,
- opisywać i pokazywać niektóre zdarzenia związane z górnictwem śląskim, które zaważyły na rozwoju kultury Górnego Śląska.

Pragnę nadmienić, iż wszyscy członkowie Bractwa mogą się włączyć w tworzenie tego cyklu. Każda inicjatywa jest mile widziana. Dotyczy to zarówno wnioskowania tytułów poszczególnych zeszytów (mamy już 14 propozycji tytułów następnych wydań), jak i sprawowania opieki redaktorskiej nad danym zeszytem.

Pragniemy pokazać dorobek Ślązaków, zaczynając od „pierwszych kopaczy kruszców złota i srebra” i „Ordunku Górnego” Jana Dobrego II – opolskiego księcia z rodu Piastów Śląskich, a poprzez dorobek takich ludzi, jak Karol Godula doprowadzić opowieść o śląskich gwarkach i ich pracy do dzisiejszych czasów.

Chcemy mówić o ludziach, ich życiu i zdarzeniach – związanych z rozwojem górnictwa – językiem codziennym, korzystając z bogatych materiałów źródłowych i opracowań naukowych.

Ma to być biblioteczka popularno-naukowa do powszechnego użytku. Mamy już pierwszych autorów i poszukujemy dalszych.

Cykl ten ma służyć następującym celom:

- dydaktycznym i wychowawczym do zasadniczego i średniego szczebla edukacji zawodowej górników, a także szkoleniowym,
- popularno-naukowym do zaznajomienia opinii publicznej z najważniejszymi gałęziami śląskiego przemysłu,
- utrwalania ważniejszych i ciekawszych zdarzeń z historii górnictwa,

- pokazania dorobku kulturalnego i społecznego górnośląskiego górnictwa i jego ludzi,
- przekazywania – także w formie anegdoty – niektórych elementów codziennego życia górników i ich rodzin.

W pierwszym zeszycie prezentujemy najwcześniejszy dorobek Wilhelma Szewczyka, spełniając niejako przesłanie zawarte w jego wypowiedzi, przyjętej jako motto do niniejszego wstępu.

Postać Hanysa – Ślązaka i górnika, jego osobisty dramat barwnie opisany na tle rodziny, środowiska, w którym żyje i pracuje, jest jednocześnie ilustracją niezwykle trudnych losów, będących zawsze udziałem śląskich gwarków.

Poemat *Hanys* wraz z komentarzem literackim Grażyny Barbary Szewczyk – córki pisarza, dotyczącym zarówno autora poematu, jak i czasów, w których powstał, mieści się w bogatym dorobku literackim poświęconym gwarkom.

Niniejsze wydanie jest trzecim z kolei. Zachowano w nim oryginalną pisownię, interpunkcję i układ z wydania pierwszego z 1938 roku.

Oddając w ręce Czytelników pierwszy zeszyt, ponownie zachęcamy do wspólnego czynnego udziału w tworzeniu i rozwoju naszego cyklu wydawniczego.

Zygryd Nowak

Gwarkowie śląscy w literaturze polskiej i niemieckiej

„Moja kopalnia! Czy mam prawo mówić o tej jednej kopalni, która wprawdzie wdarła się w najbardziej odległe warstwy wspomnień, ale na której przecież nie przepracowałem ani jednej dniówki? Opisywałem ją jednak wytrwale, poznawałem jej głębie, zapamiętałem wszystkie jej łoskoty, dudnienia, syki i jęki”¹ – wspominał Wilhelm Szewczyk w gawędzie telewizyjnej, wygłoszonej w 1990 roku.

Kopalnia, która w poemacie *Hanys* jest tłem i zarazem niemym świadkiem opisanych przez poetę dramatycznych zdarzeń, wzniesiona została w 1898 roku w osadzie górniczej Czerwionka i nosiła nazwę „Dębieńsko”. Rozpościerający się z okna rodzinnego domu widok na hałdy i kopalniane szyby, zapamiętane z dzieciństwa postacie górników i ich rodzin, opowieści o pracy pod ziemią, o zagrożeniach, bezrobociu, biedzie i katastrofach, wszystkie te zjawiska rozniecały twórczą wyobraźnię młodego Szewczyka i budowały fundament pod jego literacką wizję Śląska. Autor *Hanysa* zafascynowany rytmem i ładem pracy na kopalni wyrażał podziw i szacunek dla górniczego trudu w wielu utworach poetyckich (np. *Do braci hałdźiarzy* czy w poemacie *Posągi*),

¹ W. Szewczyk: *Z dymkiem cygara. Gawędy telewizyjne*, Katowice 1991, s. 7.

w nowelach i powieściach (np. *Kleszcze*, *Czarne słońce*, *Pogodne noce*). Utrwalone piórem pisarza obrazy są dzisiaj dokumentem czasu, w pewnej mierze także kontynuacją sięgającego XVII w. nurtu w dziejach piśmiennictwa na Górnym Śląsku.

W świat protoplastów górnośląskich gwarków wprowadza nas poemat Ślązaka i hutnika Walentego Roździeńskiego, zatytułowany *Officina ferraria abo huta y warstat z kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego z 1612 roku*. Utwór, odkryty dopiero w 1926 roku, obudził zainteresowanie polskich i niemieckich uczonych z kilku powodów.

Po pierwsze, był to najstarszy poemat o górnictwie i hutnictwie w piśmiennictwie polskim, nie mający, jak twierdzi większość współczesnych badaczy, równego w całej światowej literaturze. Dzieło to zawiera nie tylko ciekawe opisy życia i pracy kuźników i górników, ale i zarys historii hutnictwa oraz opis techniki wytopu żelaza.

Po drugie, jest napisany wierszem, co dowodzi, że autor znał dobrze język polski, jego rytmikę, nazewnictwo miejscowe i osobowe i śląski folklor.

Po trzecie, poemat jest bogaty w terminologię górniczą i hutniczą, dzięki której można określić, jaki był wpływ języka niemieckiego na ówczesną polszczyznę.

Oto, jak została zilustrowana w tekście Roździeńskiego praca górnika:

„Nie dziwuj się nic temu, iż tak barzo kuję
Twardą skałę, aż mi pot z czoła występuje.
Przywodzi mię do tego chęć dobrego mienia,
Którego się spodziewam nabyć z gor kopania.
Więc się w tym – grzebiąc ziemię – nadzieję sprawuję,
Podobieństwam wietrunki pilnie upatruję,
Twardy kamień przebiwszy z szkodą zdrowia swego,
Wpuszczam się aż pod ziemię do spodka samego.
Jednak mię w tym nadzieja często oszukiwa,
Bo tam kruszec nie wszędy – kiedy kopam – bywa.”²

² W. Roździeński: *Officina ferraria abo huta y warstat z kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego*, Katowice 1936, s. 47.

Autor *Officyny* odnotowuje oznaki postępu technicznego, podkreśla, że nowa technika wymagała coraz większego nakładu pracy i pieniędzy i że narzucała swoje wymagania. Kwestię tę poruszali także przejeżdżający w XVIII wieku przez Górny Śląsk Niemcy, kupcy, dyplomaci, nauczyciele, entuzjaści wynalazczości w przemyśle wydobywczym.

Ślązak, prorektor wrocławskiego gimnazjum Elisabethanum i utalentowany literat Gottlieb Friedrich Schummel (1748-1813), podróżując przez Śląsk, w lipcu i sierpniu 1791 roku, odnotowuje w książce pt. *Schummels Reise durch Schlesien im Julius und August 1791 (1792)* zwyczaj i polską gwarę wieśniaków oraz rozwój kopalnictwa i jego unowocześnienie. Szczególnie wiele miejsca w jego relacji zajmuje opis sprowadzonej przez radcę ministerialnego hrabiego Friedrich Wilhelma von Redena z Anglii do Tarnowskich Gór maszyny parowej, nazywanej wówczas *maszyną ognistą*. Maszynę tę zainstalowano w kopalni „Fryderyk” („Friedrichsgrube”) i była ona nie tylko dla ludzi związanych z górnictwem ogromną sensacją. Pisał o niej z entuzjazmem Johann Wolfgang Goethe, który odwiedził Tarnowskie Góry na początku września 1790 roku i zadedykował tarnogórskim gwarkom epigram, zapisany w Księdze Gości. Często przytaczany w śląskim piśmiennictwie wierszyk, który rozpoczyna się zdaniem: „Z dała od ludzi wykształconych, na krańcach państwa, kto pomaga wam odkrywać skarby i szczęśliwie je na światło dzienne wydobywać” – wywołał u niektórych urzędników kopalni oburzenie, przez innych odczytywany był jako wyraz szacunku niemieckiego poety dla ciężkiej pracy górników.

Pobyt w Tarnowskich Górach wspominał również przebywający tutaj w 1821 roku polski pisarzy i historyk Julian Ursyn Niemcewicz:

„Górnictwo tutejsze zatrudnia siedemset ludzi. Nie znają oni spoczynku, nie znają różnicy między dniem i nocą, nie znają nawet i święta. Raz puszczona w ruch machina parowa idzie ciągle i ciągle pilnowaną być musi.”³

³ J.U. Niemcewicz: *Podróż do Wielkopolski i Śląska w 1821 roku z niewydanych dotąd rękopisów*. Poznań 1872, cyt. za *Polskie podróże po Śląsku w XVIII i XIX wieku*. Wybrał i opracował Andrzej Zieliński, Wrocław 1974, s. 116.

O ile w XVIII wieku przedmiotem uwagi autorów literackich tekstów o górnictwie był krajobraz przemysłowy Śląska, nowe wynalazki i powstające zakłady górnicze, o tyle pisarze XIX stulecia przekazują więcej szczegółów o pracy górników. Pochodzący z okolic Raciborza Max Ring, pisarz, z wykształcenia lekarz, który podczas epidemii tyfusu na Górnym Śląsku uratował życie wielu ludziom, uświadamia swoim czytelnikom ogrom niebezpieczeństw, jakie czyhają na pracującego pod ziemią robotnika:

„Tutaj znajdują się ogromne pokłady węgla, kopalnie rudy i cynku, kryjące w swojej głębi niewyczerpane skarby. O świcie widzi się gromadę górników i robotników kopalnianych, ubranych w czarne lub w szare lniane fartuchy, z narzuconymi na plecy kawałkami skóry, z lampą na pasku, z narzędziami, mijających nas niczym upiorne cienie i znikających w głębi, w której czyhają na nich podstępne gazy. Nierzadko zmiążdżone ciało robotnika, który uległ wypadkowi, wydobywają z ponurego szybu opłakujący go koledzy, którym wcześniej czy później grozi ten sam los.”⁴.

Jedyny, zachowany z XIX wieku obraz pracy górnika, skreślony kobiecym piórem, zachował się we wspomnieniach popularnej pisarki śląskiej, hrabiny Valeski von Bethusy-Huc (1849-1921).

Pisarzę zainteresował temat górniczy w latach osiemdziesiątych XIX w. Zbierając materiały do powieści i szkiców dokumentarnych o Śląsku, czerpała wiadomości o warunkach pracy i życia robotników zatrudnionych w przemyśle z artykułów w lokalnej prasie, z pruskich ksiąg statystycznych, ale także z rozmów z mieszkańcami osiedli. Jako jedna z pierwszych kobiet tamtych lat zwiedziła trzy chorzowskie huty, zjechała także windą na jeden z pokładów kopalni „Ferdynand” (później kopalnia „Katowice”), aby móc z bliska obserwować pracę górników:

„Jedną z klatek szybowych kopalni «Ferdynand» zjechaliśmy dwieście metrów w dół, przeszliśmy długim chodnikiem wzdłuż torów, aż do miejsca fedrunku, widzieliśmy konie w stajniach, które nigdy już nie ujrzą światła [...]. Przy czarnej ścianie przypominającej wysoką skałę stali i siedzieli mężczyźni, opukując ją

⁴ M. Ring: *Zustände in Oberschlesien*, w: M. Ring: *Erinnerungen*, Breslau 1898, s. 167. Z języka niemieckiego przełożyła G.B. Szewczyk.

i obrabiając, aż spadł z niej deszcz kamieni, które potem ładowano na wózki stojące na szynach. Towarzyszący mi panowie rozmawiali z nimi; ich twarze, przyczernione węglowym pyłem, wydały się w blasku lampy górniczej tak obce, że poczułam się, jak gdybym przeniesiona została do świata podziemnego, w którym nieosiągalne było to, czym oddychano na zewnątrz.”⁵

Do grona mieszkających na Górnym Śląsku niemieckich pisarzy, których twórczość ilustrowała zmiany w dziedzinie górnictwa, budownictwa i hutnictwa, przede wszystkim jednak zaznajamiała z pracą robotników pod ziemią, należał Robert Kurpiun, autor wielu opowiadań o tematyce śląskiej, także dokumentarnej powieści *Feierschicht* z 1911 roku (*Świąteczna szychta*), napisanej z myślą o młodych górnikach i uczniach górniczych szkół zawodowych. W książce tej odnajdziemy wiele słów specjalistycznych, używanych przez inżynierów, sztygarów i gwarków początku XX w., które wraz z opisami wnętrza kopalni oraz używanych na dole narzędzi i maszyn tworzą bardzo ciekawy dokument minionego czasu.

Należeli do tego grona przedstawiciele młodszej generacji, poeta i prozaik Alfred Hein, opiewający w lirycznych strofach etos górniczej pracy, a także utalentowany literacko górnik Paul Habraschka, który utrwalił swoje doświadczenia z lat „ciężkiej harówki spędzonej pod ziemią” w kilku tomikach wierszy. „Wciśnięci w twarde skały połyskującego czernią szlachetnego kruszca, umorusani gwarkowie zmagają się z niebezpieczeństwem. [...] Zagłada pochłania powalonych strachem ludzi i ich dzieło z niewyobrażalną siłą.”⁶ – pisał o katastrofie wybuchu metanu na kopalni.

Działająca w latach dwudziestych na Górnym Śląsku grupa młodych poetów – należeli do niej, m.in. Gerhart Baron i Wilhelm Tkaczyk – zwróciła po raz pierwszy uwagę na żyjącego w nędzy i wykorzystywanego przez pracodawcę górnika. Reprezentantem

⁵ V. Von Bethusy-Huc: *Erinnerungen*, w: „Oberschlesien” 1914, Mai, s. 76. Z języka niemieckiego przełożyła G.B. Szewczyk.

⁶ P. Habraschka: *Schlagende Wetter*, w: H. Kegel: *Oberschlesien in der Dichtung*. Neu bearbeitet von Karl Kaisig, Berlin 1926, s. 154. Z języka niemieckiego przełożyła G.B. Szewczyk.

zaangażowanego w sprawy społeczne nurtu w prozie lat trzydziestych XX w. był urodzony w Szarleju Hans Marchwitza (1890-1965), autor kilku powieściowych utworów o górnikach – emigrantach ze Śląska pracujących w kopalniach w Zagłębiu Ruhry oraz autobiograficznej powieści *Moja młodość*. Zmuszony do pracy w wieku lat czternastu jako „górnik przy ładowaniu węgla na Buchaczu” jest świadkiem licznych dramatycznych wydarzeń w osadzie i na kopalni, doświadczył też na własnej skórze biedy i bezwzględного wyzysku. We wspomnieniach Marchwitzy sportretowane zostały postacie dzieci i dorosłych, niemieckich i polskich górników i ich rodzin, zmuszonych do niewolniczej pracy, cierpiących głód i niedostatek. Wstrząsające obrazki z życia dzieci skazanych na ciężką harówkę pod ziemią należą w literaturze tego okresu do rzadkości, dlatego ich wartość dokumentalna i historyczna jest dzisiaj niezaprzeczalnie duża, a wybrane fragmenty książki warte zacytowania:

„Osiem godzin pod ziemią wydawało mi się wiecznością. Chwilami myślałem, że nie przeżyję; skalny pułap pękał z hukiem, ogromne bryły i płyty przełamywały belki, sypała się fala żwiru. Jakoś udawało mi się przeżyć każdą szychtę. Po pracy śmiertelnie zmęczony ledwie wlokłem się do szybu. Pomiedzy pędzącymi wagonikami i parującymi, ciężko dyszącymi końmi groziło mi często niebezpieczeństwo przejechania i stratowania. Przez ociekającą wodą szyb wyjeżdżałem na górę z zapadającymi się ze znużenia oczami. [...] światło dzienne budziło mnie. Na kopalnianym placu grała orkiestra górnicza. Witała nas rześkim marszem lub wesołą melodią walca. Długie szeregi czarno umorusanych rębaczy i małych popychaczy wypływały przez bramę. Starsi skręcali gromadnie i szli na wódkę; ja rozglądałem się za moimi przyjaciółmi, bo kierownik kopalni Heinisch przydzielił nas na różne rewiry. Czarni, mali, podobni do starych karłów nadchodzili chwiejnym krokiem jeden za drugim.”⁷.

W polskim piśmiennictwie na Górnym Śląsku drugiej połowy XIX wieku i początku nowego stulecia pojawiło się wielu pisarzy

⁷ H. Marchwitza: *Moja młodość*, Warszawa 1950, s. 91. Przełożyli z języka niemieckiego A. Sowiński, O. i A. Ziemilscy.

ludowych, adresujących swoje utwory do odbiorcy regionalnego o tradycyjnych upodobaniach i niewysokich wymaganiach estetycznych, w przeciwieństwie do Niemców, którzy kierowali swoje teksty do kręgów mieszczaństwa, nauczycieli, rzemieślników, sztygarów, bibliotekarzy. Sytuacja zmieniła się po 1922 roku, kiedy powstało środowisko literackie, skupiające twórców rodzimych i „przybyszy”, wspieranych przez instytucje kulturalne i społeczne. Cechą rozwijającej się prężnie w latach dwudziestych i trzydziestych literatury staje się uświadomiona polskość, stąd większość autorów podejmuje tematy (np. powstania, polskie tradycje i obrzędy na Śląsku), które miały udowodnić, iż Ślązacy są Polakami i że myślą jak Polacy.

Obok plejady poetów i prozaików opisujących przemysłowy krajobraz Górnego Śląska w tonacji realistycznej czy sentymentalno-idealistycznej na scenie literackiej pojawił się Gustaw Morcinek (1891-1963), pisarz niezwykle utalentowany, posługujący się sprawnie językiem prozy artystycznej i świadomy znaczenia współczesnej problematyki regionu. Utwory o tematyce górniczej, którymi zadebiutował pod koniec lat dwudziestych, zbiory nowel i opowiadań, np. *Serce za tamą* (1929), przede wszystkim jednak znakomite książki z lat trzydziestych, nagrodzona w Śląskim Konkursie Literackim powieść *Wyrąbany chodnik* (1931-1932), powieści *Inżynier Szeruda* (1934) i *Wyorane kamienie* (1939), uutorowały mu drogę do literackiej sławy i do serc śląskich czytelników. Morcinek pisał o bezrobociu wśród górników i o próbach poszukiwania przez nich źródła utrzymania w eksploataowaniu biedaszybów, o katastrofach, zawałach i o śmierci zasypanych pod ziemią rębaczy. W fabule łączącej realistycznie przedstawione fakty z fikcją umieszczał galerię ludzi prostych, górników i hutników, „z twarzą i dłońmi ubrudzonymi węglem”, odważnych, szorstkich w obyciu, pracowitych, religijnych i przywiązanych do tradycji, niekiedy zapalczywych i nierozważnych w podejmowaniu decyzji, zawsze jednak dobrych i czułych dla rodziny. Kreślił ich dramatyczne losy, wierząc, iż w końcu wszystko się jakoś ułoży, że zniknie bezrobocie, skazujące ich na dotkliwą bezczynność i nędzę. Niektórzy krytycy (np. Z. Hierowski) zarzucali pisarzowi, że tworzy stereotyp śląskiego górnika i że wiele istotnych kwestii

społecznych zamazuje, pomija i spłyca. Inni (K. Heska-Kwaśniewicz) twierdzili, iż jego proza wyzwalała u odczytanego odbiorcy literackie i filozoficzne skojarzenia i że nawiązywała podświadomie do symboli polskiego romantyzmu.

Z perspektywy czasu nabierają znaczenia nie tyle sprawy artystycznego warsztatu Morcinka, lecz przede wszystkim sposób, w jaki pisarz próbował zmierzyć się z aktualnymi społecznymi i narodowymi sprawami na Śląsku. Jego zdaniem, udział górników w walkach powstańczych miał przyczynę społeczną. „Walki powstaniowe” – wyjaśniał, nawiązując do przesłania swojej pierwszej powieści – „były raczej walką socjalną, zmierzającą do usunięcia dotychczasowych tzw. panów, gnębiących go bezlitośnie pod względem ekonomicznym, narodowym i nawet religijnym. A że ci panowie byli Niemcami lub Czechami, stąd walki przybierały charakter nacjonalistyczny.”⁸ Fabuła *Wyrąbanego chodnika* uzasadnia i rozwija tę tezę. Naszkicowany z epickim rozmachem psychologiczny portret młodego Gustlika, rozpoczynającego w wieku czternastu lat swoją pierwszą szychtę na kopalni, przypomina główną postać z powieści H. Marchwitz *Moja młodość* i pozwala czytelnikowi zidentyfikować się z postawą i ideałami żywymi bohatera.

„Górnicy na szybie powitali go drwiącymi uśmieszkami, chłopcy zaś pokpiwali w głos, natrzęsając się z jego nieśmiałości. A potem stanął w windzie, w towarzystwie innych górników, i gdy wyobraził sobie, że pod stopami zieje otchłań, nie wiedzieć jak głęboka, wyczuł znowu tamten poprzedni lęk [...].

Koło szybu chodzili górnicy, dudniły ciężko ich podkute buty na płytach żelaznych, błyskały przyćmionym światłem lampy, kołysane niedbale w dłoniach, przelewał się gwar rozmów i nawoływań [...]. Potem ponad gwar wyleciał ostry jazgot dzwonka sygnałowego. Winda zachwiała się, uniosła nieco w górę, chwileczkę stanęła i jakby nagle ze spoideł zerwana, runęła gwałtownie pod ziemię. Zatrzepotały spłoszone źrenice, uczepiły boleśnie gasnącego dnia i słońca, zakryły powiekami [...].

⁸ Chodzi o polemiczną wypowiedź Morcinka, którą zamieścił w piśmie „Epoika” w 1932 roku w numerze 7. Cyt. za Z. Hierowski: *Życie literackie na Śląsku w latach 1922-1939*, Katowice 1969, s. 245.

Winda dobiegała piątego poziomu. W lekkich, falistych pod-
rzutach opuszczała się na stawidła. Uderzyła, zazgrzytało żelazo.
Wtedy ktoś z zewnątrz otworzył bramkę. Górnicy zaczęli wychod-
zić nachyleni nisko. Gustlik wyszedł nieśmiało za innymi. Ostro-
żnie jak niewidomy człowiek, szukał nogą podłogi. Nie mógł
oprzec się wrażeniu, że trafi na próżnię.⁹

Morcinek, pisarz, który jako pierwszy wprowadził do literatu-
ry polskiej temat górnika i kopalni i który, nawiązując do przeżyć
swojej górniczej młodości, dzielił się z odbiorcą bogatą wiedzą,
obudził w młodym pokoleniu górnośląskich autorów odwagę pi-
sania o sprawach Ślązaków.

Należał do nich Wilhelm Szewczyk, młodszy o 15 lat od Mor-
cinka. Zadebiutował utworami, nowelami, o problematyce bli-
skiej Morcinkowi – *Wiatr nad kopalnią* i *Bunt rudowłosych anio-
łów* – opublikowanymi w latach 1937 i 1938 na łamach „Kuźni-
cy” i „Zarania Śląskiego”, w których ukazał los inwalidy-górnika
i śmierć na kopalni. Nie próbował jednak naśladować morcinkow-
skich rozwiązań fabularnych, ani stosowanych przez niego języko-
wych środków obrazowania. Twórczość poetycka młodego litera-
ta, której pierwszy etap zakończył się wydaniem poematu *Hanys*
w 1938 roku, łączyła różne literackie nurty, autentyzm i awangar-
dizm, otwarty regionalizm, po części także katastrofizm.

Hanys pozostanie poematem o pracy górnika, jego przywią-
zaniu do kopalni i jego tragicznej egzystencji spowodowanej
wypadkiem, bezrobociem i nędzą. Pozostanie także w pamięci
potomnych jako wyznacznik wielkiej miłości Wilhelma Szewczyka
do ojczystej ziemi, Śląska, do krajobrazu i do ludzi z ich niezłom-
nością charakteru i przywiązaniem do tradycji.

Grażyna Barbara Szewczyk

⁹ G. Morcinek: *Wyrqbaný chodnik*, tom I, Katowice-Cieszyn 1947, s. 19, 20.

Wilhelm Szewczyk

HANYS
Poemat

**Ojcu mojemu Hieronimowi
poświęcam**



Drzeworyt wykonał Paweł Steller



Ciche, wiotkie stapania zakrwawionych godzin;
z sekund biegnących rwąco czas sypie się jak pył.
Przez okna rośnie zachód: w liściach, blady złocień;
zmierzchem ku oknu bucha z szarych, cienistych dyl.
Żmudne zakręty myśli. Czołga się gardłem ból.
Cisza usiadła w piersiach jak drapieżna sowa.
Wieczór jak paw za oknem szuka straconych piór,
trzeпоce śniadym skrzydłem u siniejących pował.

Gorączka u sił kresu. Gorączka. Gorąączka.
Błąkają się na ustach słowa coraz cichsze.

Zmierzch się rozrasta w górę w ciemniejące gąszcze
i w oknie miękką dłonią czarne róże pisze.
Korab pokoju płynie. Kołysze. Zarzuca.
Z kątów wychodzą cienie. Cienie w oplocie rąk.
Czas szumi tajemniczo. W ruchach się czają gusta.
W pół nocy — — — słowo. Boże! Pierwsze. Twarde
jak gong.

I nic tu nie pomaga słodycz matczynych słów
i niczym nie napełni słabiejących ramion.
Wczoraj mąż wyszedł z domu. Też świecił srebrny nów.
Nie wrócił. Od czekania już się siły łamią.
Nie wrócił. O zachodzie buczało z kopalni —
Myślała, że to koniec. Koniec długiej szychty.
Teraz po drogach błędzą złociste latarnie,
teraz jest wielka cisza. A ból — jeszcze większy.

Matka jej nad ustami wciąż dyszy nadzieją,
matka, co także męża i te chwile miała.
A jej z oczekiwania usta płomienieją
a słowa rodzą długie, nienawistne zdania.

W drzwiach zbiera się na burzę. Przez pokój ku oknu
idzie dmuchawka słaba, idzie leciutki wiatr.
Czuje to chora. Ból się w niej cicho potknął.
I nagle w nią jak jastrząb i nagle w oczy spadł.
Matce coś wicherzy włosy. Ciemność zalewa pokój.
Zegar o skałę ciszy miękkim się łokciem wsparł.
Potem — księżyc trupiasty oknem włazi szeroko,
z ust sinych ciurkiem żałość, z ust mu wybucha psalm.

Myśli chorej nie sięgną gwiazd zapalonych w górze —
ciężko jest objąć słowy to, co ma teraz przyjść;
łatwiej jest dłonie w ustach spalonych zanurzyć,
łatwiej jest oczom krzyczeć i w szare kule skwiść.

Płatki szpitalnej woni nad chorą, nad łóżkiem.
Wielka jest świętość ciszy, święta jest wielkość nocy.
Do okien się zlatują śmiercionośne družki.
Gwiazdy w moczarach nieba ugrzęzły, srebrem broczą.

A potem — krzyk. I cisza. Matka, sąsiadki, gwar.
Ręce i biała pani. Nieme toasty rąk.
Takt bosych babskich pięt. I — czyjś płaczliwy bunt.
Nowy potomek ludzki przyszedł właśnie
na świat!



Matka cichutko wyszła. Pokój zasnuł się mgłą.
Kraży w nim biała pani z niespokojnym sercem.
Cisza nakryła w łóżku chorą z dzieckiem jak dzwon,
oddechami skwitając w niespokojne wiersze.
Biała pani nie płacze. Płaczem nie nakarmi
serca młodej kobiety tęskniącej za mężem.
Teraz do szyb przylepia noc oblicze czarne,
horyzont w poprzek drogi w drzemce się wyprężył.
Teraz w domach jest cicho. Śpią spokojnie żony.
Tylko tu, tu w tych piersiach szarpią sercem wiatry.
No, bo jakże zapomnieć myślom rozburzonym,

że mąż z szychty nie wrócił, że w dziecko nie patrzy
(w dziecko, co tyle razy myślał skrycie o nim
i czekał czujnie, wiernie na to swoje święto).
Już nie myśleć, nie płakać, ale w gwiazdach spłonąć,
w gwiazdach, co płomień czasu wiecznie w górze przędą
i zapomnieć, zapomnieć o tej chwili krwawej,
o tej sztolni przygastej, gdzie mąż jeszcze żyje.
Wieczór zielononogi nie zdusi, nie zdławi
ćmy, co się osypuje na źrenice sine.

Niemy okrzyk przeżera spiekłe gardło jak pług.
Biała pani ucisza zamulone oczy:
po co płonąć? to wszystko zsyła Bóg, tylko Bóg —
Bóg ma prawo nas w życiu nieszczęściem przytłoczyć.
— Chora tego nie pojmie. Chora nie zrozumie.
Oszaleć jej najprościej — tu dziecko, tam mąż.
Jakże tu głowę trzymać wyniośle i dumnie,
gdy życie rośnie, rośnie w nieprzebyty gąszcz?...



Błękit przewiał szeroko, chłost słońca na szybę;
jakiś ptak chińską dłonią słońce z szyb nam startł.
Pięć plam jest na podłodze, jedną ptaszku wybierz
i puść się z nią, słoneczną, w rozszały tan.
Potem wznies się pod sufit, zaśpiewaj, oszalej;
pięknie śpiewać jest chwałę słonecznego dnia.
— Słońce pachnie nam lipą (od niej dom się zapalił
i dziewczyna, co z mlekiem w górę schodów szła).
Na chałupach gołębie — wyklapią, wylecą,
w drzewach gniazda z melodii, w gniazdach pełno blasku,
za drzewami kopalnia, nad nią nieba niecoś,
co twarz zakryło czarną, wytartą zapaską.

Chora z twarzą pod słońce leży w Śnie głębokim.
Matka na nią zarzuca jaki taki łach.
Dzieci kwęcą przy piecu. Dzieciska, boroki...
Wczoraj głód je wysuszył, dziś trapi je strach.
Nikt o nich nie pamiętał. Starka zapomniała.
Teraz patrzy się w oczy, w szare oczy czworga.
Widzi: najpyrtszy Gustlik, wielce umurcany,
ku jej nogom powoli, bajukając, czołga.
Małe biedne paluszki. Ciepła kulka ciała,
co nią targa jak płomień unoszący szloch.
Jakże słodko jest tulić małych lic upały
i łzy drobne osuszać w srebrniejący proch!...

Pełno dzisiaj jest słońca w zielonych łbach drzew,
słońca po lesie błędzą, spływają z kominów.
Długi szyb w łanie nieba swój zanurzył hełm,
wiatr się oń jak o drzewce zakręcił, owinął.
Ciepło żenie ulicą. Od hałd bucha żar.
Błady jedwab powietrza w dłoniach wnet zaszuszczy
(spalcie się moje hałdy, spal się świecie, spal,
niech się na pola słońce pożarem opuści.
Tyle jest nędzy w domach i tyle obłędu,
co palce nam zakrzywia i zaciska pięści — —
— — kiedy w słońcu nam twarze jak liście powiędną,
relikwie ich popiołów przyniosą nam szczęście).

Ulicą ku kopalni — kłęby złotych ludzi,
słońce złociste flądry rzuca prosto na bruk.
Wiatr wszystkich na ulicę z izb ciemnych poskludzał,
buntuje teraz wszystkich zły, robotniczy bóg.
W bramie jest pełno straży; wpuszczają rodziny
tych, w których chciwe oczy osypał się węgiel.
Teraz zawiewa smołą, kotłownią i dymem,
syrena to się załknie, to opadnie z jękiem.

Teraz zaszumią w niebo skrzydła czarnych maszyn,
w huku stopnieją słowa, którym nie czas grzmieć.
Wiatr się jak w gąszcz w nadszybiu dygocącym zaszył,
słońce w półmiskach godzin podaje wracą miedź.

Wszystkich ponosi trwoga. Strach smaga mózgi biczem:
a nuż wyciągną na wierzch opuchłą, siną gębę?...
Czas się nie na sekundy — na bicie serca liczy,
co ludziom wstrząsa piersią jak suchy, szorstki werbel.

W nadszybiu ścisk i wrzawa. Wszystkich odgania straż.
Baby tłoczą się naprzód. Zapaski przy nosach.
Ciche, spękane dłonie gniotą w pięściskach płacz,
wśród zasłuchanych ludzi śmierć włóczy się boso.
Gołe piersi górników napierają naprzód
ale nie ruszą ludzi, co stoją jak strómy.
Trzęsie szopą żelazną, czarne wózki jaszczą,
wielkie koła pod siebie zgarniają poszumy.
Jakieś krzyki, pierony, dzwonki, wiiiinda — zgrzyt — — —
— — — żelazna chłodna klatka osiada w stawidłach.
Plecy, plecy oślizgłe. Przytłumiony krzyk.
— Bluznęło czymś jękiem z gardzieliska windy..

— Wywieźli już jednego. Spękane kłody nóg.
Wywieźli prawie trupa na złoty, boży świat.
Płacz się rozrastał w głowie jakby kolczasty głóg
i wzmógł się głośny lament wsłuchanych w niebo bab.
Jakaś kobieta z wrzaskiem u krwawych zwiśla ręk,
ryczała strasznie długo, w dół jej leciała głowa.
Mąż zakrwawioną ręką o twardą ziemię tłukł,
kiedy mu w dłoń wszeptęła jakieś płaczące słowa.

Starka stanęła z boku. Oczy w szalejce skryła.
Szemrały czyjeś usta, szlochały czyjeś piersi,

a wszystkich czarna trwoga pod gardła ułapiła
i w piersiach tłukły skrzydłem ponure sępy śmierci.
Szygar jakiś młodziutki szcerwieniął na twarzy,
nie wiedział, co tym ludziom, nie wiedział, co im rzec.
Dusił go ciężar bólu, wzrok płonący parzył,
sekundy mu pisały coraz straszliwszą treść.
Więc rzucił się do windy. Och, zapaść się gdzieś w dół,
nie patrzeć w ognie oczu, co palą jak wyrok.
Zarząd kopalni tanio szacuje cudzy ból
a w nim proste współczucie złym protestem wzbiera.
Zarząd kopalni powie: bardzo nam przykro, ale
praca wymaga również ofiar, bohaterów.
Życie — to płomień lampy tańczący na powale,
życie — to ciemność twarda, co w oczy napiera.

Trzy razy lekka winda wypłynęła na wierzch,
trzy razy przemówiły okrwawione usta.
Po trzykroć ktoś ukręcał łeb pustej obawie
i strach zeń w lot opadał jak stare powrośła.
Tłum rósł. W milczeniu stały ponure, ciemne chłopy.
Niemyte, małe głowy wkopały się do kiecek.
Winda dzwoniła ciągle. Trzęsła żelazną szopą.
Łoskot jak garb zaciężył na przełamanych plecach.

Turkot krążył w powietrzu, godzina za godziną,
wózki depcą po piętach, tyle smutnych myśli.
Sekundy dźwięczą w dłoniach jak przelewany bilon,
czas — cichy kreślarz nudne zakrętasy kreśli.
Dziewczyny jakieś blade w palcach sukienki mną,
czekanie pełza cicho, wolno od nóg do nóg.
Ktoś chce natychmiast zjechać w ciemną, huczącą głąb,
ktoś szumi jednostajnie wichrem obłądnych słów.

Starka czeka cierpliwie. Od windy do windy.
Miarowo nią potrząsa głośny bełkot serca.

Myśli o innych chwilach, co przyjdą, dziś przyjdą,
myśli o dniach, co czasem gichają szyderstwem.
Słońce już się nadziało na komin wniebopienny,
druga zmiana w nadszybiu, kroki pełne lęku.
Syreny buczą głucho swoje prostackie hymny,
że tylko w dźwięk owinąć się jak w jakąś wstęgę.

Już wywieziono ośmiu. Z pięciu nic nie zostało;
ziemia ma swoje prawa, ciężkie i nieuchronne.
Syreny właśnie tamtym pięciu donośnie grały,
gdy wiatr szarpał sztandary na masztach zawieszone.
Stawali wszyscy ludzie na stygnącym bruku,
strach im podcinał nogi, w pył uliczny walił.
A z kopalni bił w niebo rozpaczliwy stukot,
a pod niebem zmurszałym zachód widma palił.

Już było całkiem ciemno i tylko garstka ludzi,
kiedy zatrzepotała winda u ich stóp.
Człowiek ją jakiś twardo do ziemi przydusił:
było w niej dwóch górników — już ostatnich dwóch.
Poznała go od razu. Opierał się o kogoś,
nogę za sobą z chrzęstem jak wielki łańcuch włókł.
Pobiegła za nim lepką, krwawiejącą drogą
z trzepotem zachłyśniętych, błogosławiących rąk.
Wionęła za nim słowem. Najdroższym z słów matczynych:
„Hanys!...” —

Odwrócił głowę. Wiatr targnął mu koszulą.
Stanął. Za nią się wózki głośno przetoczyły —
patrzył się w tamte wózki, w jakąś żółtą lunę,
patrzył się w mgłę, co przed nią i za nią cicho szła.
„Hanys!...” — O, dobre dłonie, matczyne, zgrzybiałe,
obejmujące głowę jak senna, srebrna mgła.
Szumiało bólem w głowie, dokoła szumiało,

od pól sino-dalekich żytem się zaniosło —
— wsłuchał się w słów matczynych kipiący, słodki gwar,
spłynęła wieść o synu, po prostu, po prostu —
W górze dudniło stałą. Uśmiechnął się pod wiatr.



Daleko rosną myśli. Bliskość przeraża, straszy,
świat jest nam taki mały, kończy się już za hałdą.
I nie wypowiesz ziemi uśmiechem ani płaczem,
gdy dni cię otaczają zacieklą, psią gromadą.
Nie nam się dłużą drogi w kraje kwitnących grusz,
nam życie się kornikiem w milczenie głębi wwierca.
Słyszysz jak szept kamienia przywiera nam do ust,
wiesz jak noc okrakiem siada na naszych piersiach?...
W piersiach dygocą echa, wspomnienia kalnych głębin;
jak głucho dudnią kroki, gdy ćma czepia się rąk.

Dni jak koleby z węglem, noce jak stemple w strzępach,
lipiec nam zwisa z nieba jak blady, wyschły strąk.

Wczoraj ulicą przeszło pięć dębowych trumien;
Hanys pod oknem w myślach, dzieci i Stefa w szlochach.
Orkiestra dęła ostro w marsze nieprzytomne,
że nawet mu się w sercu miękko zrobiło trochę.
Bębniły czyjeś palce, konie po cichu rżały,
kasztanom tyle smutku, wdowy, dzieci odświętne,
znów się syreny w chmurach płacziwie rozmazały,
że nawet słowom było w sercach miękko, za miękko.
Hanys myślał, że tamtym jest już całkiem dobrze.
Wiatr wyczyszczał smutki z końskich, strzępiastych grzyw;
konie ciągnęły ostro, szły z chrzęstem jak w zboże,
pokropił blasków i cieni kapał z wysokich drzew.

Hanys nie umie płakać jak jego blada Stefa —
ze złością depce słabość wschodzącą w kątach duszy.
Nie tak mu dni kwiść miały, tak bezowocnie, nie tak,
że coraz ciężiej płonąć, że coraz trudniej burzyć.
A ręce jak potoki rwały do innych szumów — —
mógł przecież mieć chałupę w słonecznikach i bzach,
mógł zwilgotniałą ziemią zachłysnąć się na umór
sam jeden, bez kilofa, sam wśród zapalnych traw.

Brał udział w trzech powstaniach. Walczył, bo wiedział o co.
A potem przyszła Polska — obdarta, sina wdowa.
Ból mu jak robak serce zadrapał, zgryzł i stoczył
i jak tu potem ziemię pokochać i scałować?
I jakże potem tęsknić do Matek Częstochowskich
i nosić w dzikim sercu biało-czerwony pokój,
kiedy z dnia na dzień więcej przybywa czarnej troski
a praca bluzga w dłoniach ciemną i złą posoką.
Dzień trzeba umieć objąć jak pełną, jędrną pierś,
Polską trza umieć wskrzesić nawet kamień przy drodze,

ale z Warszawy musi przyjść nowa mocna wieść,
co w sercach nas, maluczkich, jak sztandar załopocel!...

Życie zacznie się rano: w oknie oddech świtu,
maleńki Karlik wrzeszczy, mokry poślizg włosów,
starka w sieni o jajka kłóci się z kobietą,
zegar coś brzęknie miękko, w słońcu zapach kłosów — —
Hanys przewija nogę, dzieciska przy nodze,
usta Karlika w piersiach, znów gdzieś wybucha starka,
potem dzieci wygonią na łąkę dwie kozy,
potem stogi południa, dzieciska z łąk we wiankach...
Na ustach pełno słońca. Tak jest, tak musi być.
Świty na wargach kładą wspomnienia innych czasów;
zawsze będziemy myślą w marzeniach płonnych tkwić,
więc niech się usta słońcem nakarmią i napasą.

Stefa mówi, że Hanys ma oczy jak żołędzie,
a on ma oczy chore, stępione klingą dni;
tak muszą chyba patrzeć ci, których na uwięzi
trzymają prawa głupców, trzymają rządy złych.

W szpitalu brakło miejsca. Dostał miesiąc rewiru.
Codziennie przewijają mu zakrwawiony kikut.
Godziny idą blade. Zakwilą — i przeminą.
Jak ciężko myśl jak kulę do chorej nogi przykuć.
I tylko ogień w ustach, ociążałe kroki,
dzieci szmerzące głośno, zasuszony chleb,
i tylko potok kaszlu, zmierzch niski jak pokłon
i szum, co z kopalni w okna izby zbiegł.

Pod blachą struga ognia. Nad łóżkiem Matka Boska.
Pod łóżkiem pełno grotków i kupa starych łąchów.
I jeszcze jakiś święty w poschniętych, żółtych kłóskach
i zmięta gęba Stefy nad szeleszczącą blachą.

Do drzwi pukanie biednych. Hanys wystawia nogę.
Bierzcie te strzępy nędzy. On może zabrać wasze.
Że ktoś na hałdach mieszka, że żonę ma w połogu,
że ktoś karaniem boskim Hanysa chce nastraszyć?...
On też odwała głazy, co mu przygniotły dołę;
gdy jeden kawał zleci, wali się cały strop:
więc żona, potem Karlik, więc on przysuty w dole
i B ó g, ten Bóg milczący, ten niedosiężny Bóg.

W południe pod oknami szalała muzyka;
bimacy cięli długo jakiś paradny marsz.
Właśnie nad suchą nogą wznosił ręce lekarz.
W doniczkach rosły mirty, bujny zieleniał chwast.
Przez chwast mógł dojrzeć: tamtych, zielone południe,
splątane łąki dachów, step wielki błękitu.
Lekarz mówił mu właśnie, że źle, trzeba odjąć,
że kalectwo górnikom dodaje zaszczytu.
Stefa twarz przytuliła do gorących kafli,
od doktora szły mgliste, nieprzejrzane myśli.
Starał się, on, uczony, zdefiniować trafniej,
że kości zgruchotane, zharatane mięśnie...

Na izbę padła duszność, na oczy padła ćma,
każdy w maleńkim kątku liczył paciorki sekund.
Dymiła misa żuru, para na lśniących szklach,
każdy wstrzymywał oddech, każdy z nich na coś czekał...
Ale nie spadła burza ani grad nie spadł z nieba,
nie biły z góry gromy ni jasne, ciężkie kule.
Bóg się w dalekich chmurach okopał i zagrzebał,
jak dawniej niedosiężnie, wyniośle i nieczule.
Więc pokuldykał Hanys do sąsiedniej izby,
usiadł przy gołym oknie, w chłodnych przylotach liści.
Ciemniało. Z dłoni rosną długie jak wiatry wierzby.
Z okien wyjęto słońce. Wiatr niespokojny wichrzył...

Poprzez ogród, przez łąkę, przez dymiące hałdy,
od okien ku kopalni — wiatr, rozszumiały wiatr.
Kominy trzeszczą sucho jak drewniane maszty,
od wschodu sunie chmura — rozkołyszany wrak.
Ulicą boso baby, kosze pełne jagód,
wiatr im wywraca kiecki, liście, hej liście w górę.
Błogosławione burze gwałtowne i nagłe!
Błogosławione deszcze, pioruny i wichury!

Hanys przy oknie szarym nie myślał o morzach,
nie myślał o kwitnących, dalekich, pięknych krajach.
Chciał się udławić korcem pachnącego zboża,
chciał się udławić zmierzchem wilgotnym w czas kopania...
Zatęsknił za polami. Za kąskiem własnej ziemi;
brat ma i siostra również a on mógł także mieć.
Ale zostawił pola — dla kopalnianych dymów,
dla niespokojnych nocy spokojną rzucił wieś.
Wtedy to jeszcze górnik był panem na swoim,
ciągnęli wszyscy chłopcy do pracy jak do chaji.
Teraz zarobek dzielą na dwoje, na troje,
że tylko burza w pięściach i dygocące skrzanie.

Męczyły go te bunty. Te puste porywy.
Ułapił głowę w dłonie. Lecz — nie mógł, nie mógł płakać.
W okna mu biły wiatru ponure zaśpiewy,
wracały tamte myśli — ostrzymne, mroczne ptaki.

Właśnie w tę pustą chwilę zalał do izby Bartek,
w ustach niósł słów księżycę, związane białą gazą.
Był biały. Był daleki. Był dziwny i ożarty.
Pieronił, kłął ponuro na jakiś rząd czy zarząd.
Wieczór na sukno ściemniał. Można go było drzeć.
Bartek coś jęczał długo o jakiejś nowej krzywdzie.
Że niby sami winni są oberwaniu, że
jakieś tam dochodzenie przeciwko winnym będzie.

Potem zapłakał głośno, zaryczał, wybuchnął,
zatonął się i wrzasnął, że nie ma po co żyć,
że psinco mamy w życiu, po śmierci też próchno
i tylko głowa siwnie. Więc pić trzeba, pić...
Hanysa jakby żgnęło. Wydarł mu gorzałkę —
— na dworze Bóg Milczący piorunami grzmiał — —
i pił i pił i chlapał, aż się głośno załknął —
a potem długo w nocy dzieci pasem prał.



Stefa była po wsparcie. Przyszła bez uciechy.
Rzuciła wszystko z brzękiem, pieniędzmi — o stół — —
Widziała jak na drogę koń się zwałił, zdychał;
zapadła, zwiśłą piersią w kałużę się zwlókł.
Widziała, jak nozdrzami ścigał ucieczkę sił,
ciężko mu było powstać, gniótł go własny grzbiet;
gwiazdami się na drogę potoczyły łzy,
kiedy go mokrą szmatą nakrył siny świt.
Ten koń i to ich życie. Ten koń na gołej ziemi.
— Dusił ją płacz Karlika, zegary drażniły.
Ten dzień, co jej o szyję owija się jak rzemień!
Och, Boże! daj nam życia, płomienia i siły!...

Hanys i chmurna faja — widzi ich wciąż razem:
w dymie zatracą Hanys swoje ostre kształty.
— Ciężko jest w gwarnym dymie ustawiać ołtarze,
gdy nas codzienność dusi jak mgliste opraty.
Cóż, że zmierzchy nam piszą dziecinną nadzieję,
cóż, że gwiazdy odchodzą na niebieską stronę,
kiedy zmierzchy są puste — bezprzestrzenne prerie,
kiedy gwiazdy bulgocą słowa nierozumne.

Hanys się o coś pyta. Długo składa zdanie.
Aha, czy tamto prawda. Że — to jest ich wina?...
Słowa czasem są ciężkie, zimne, ołowiane,
w słowach się czasem myślom szorstkie łby ucina.
Ale tu — tylko prawda. Więc jednak. Więc tak.
Jakby ktoś dzień rozłupał na różne połowy. —
Na górze ktoś zanucił, że czerwony mak,
że dziewczyna ma lica bladaworóżowe.
Na górze szemrzą pieśni jak wartkie strumyki,
tam bardzo łatwo płynąć i kwiatom i dźwiękom.
Jedynie tutaj ciszę trza odwalać krzykiem
i dygocącą w niebo roztoparczą rękę.



Wschody-zachody. Życie. Czy tak trudno patrzeć
na zakopcone hałdy, na dyszące szyby?
Słowa przechodzą bokiem. Jak psy. Słowa warczą.
Zdania przez pierś turkocą jak puste koleby.
W dali zakwitły astry. Daleko płyną ogrody.
Ogrodom ciężko przypaść do trędowatych murów.
Nie doścignjemy astrów, szarpani codziennym głodem,
gdy słowa się pod nogi jak ciężkie kłody bułą.
Dziewczyny co dzień wnoszą słońca pełno do izb,
u młodych stromych piersi jabłoniowe świty.
My wiemy: jakże ciężko po słońce w słońce iść
z duszą ubiczowaną, do krzyża przybitą.

Daleko lipiec, sierpień. Z rąk się wymyka wrzesień;
widzisz jak poszedł polem, łąkami, na przelaj..
Teraz najłatwiej smutkom pod piecem w kuchni zleźć się,
by szumieć długo w nocy o dalekich dziejach.



Nie odjęli mu nogi. Nosi ją czule z sobą.
Nie wzięli go do pracy; został emerytem.
Dwadzieścia cztery złote — więcej mu dać nie mogą.
(Myśli, że po co więcej, wszak astry zakwitły,
starczy dwadzieścia złotych, astrów całe naręcza,
astrów całe naręcza, zerwane gdzieś z tronów.
Czasem o świcie w astrach Bóg na hałdach klęczy,
czasem nabrzmiewa nimi gwarna pąc zagonów...
więc po co myśleć ciągle, że źle, że jest trudno,
w nocy na pewno łkały w astrach białe anioły;
astry w rannej ucieczce zmizerniały, schudły,
gdy słońce wyszło drobne jak z aptecznego słoja.)

Mogli go wziąć do pracy. Stróżować, na bramę.
Byłby zarobił więcej, można by jakoś żyć.
Ale rzekli z uśmiechem, że praca go złamie,
że nie jego ramionom pracę jak bronę wlec.
Będzie mu lepiej w domu. Za dwadzieścia złotych?
Z czworgiem maleńkich dzieci? Starka, Stefa, on — —?
Więc jednak myśli bołą. I parzą jak dotyk.
Więc jednak w każdej myśli zaczaja się bunt.

Na dole był strzałowym. Rzekli: jego wina.
Więc im powiedział prosto, że Bóg ich pokarał.
Nieszczęście chodzi śmiało, odważnie, na przymo,
węgiel się bardzo chętnie dobiera do gardła.
Pokazał im na dole, jak przewaliło burzę,
jak stemple się rozpękły w wilgotne, żółte próchno.
Nie strzelał — samo przyszło. Dwadzieścia pięć lat służy,
nigdy by od strzelania nie grzmiało tak, nie tłukło.
A mówił sztygarowi: już od tygodnia tąpnie.
Więc czemuż się uśmiechnął i machnął na to dłonią?
Trza było, aż się zgięły w kolanach dumne stemple,
trza było, aż się łoskot na piersi nam wyronił.
Łatwo sztandary jasne ku niebu wypuszczać,
lekką syrenom głosić górnicze nieszczęście —
(— niech się sztandar w błękicie wykąpie, wypluszcze,
niech buczenie chmurami przewieje, przetętni —)
Ale trudniej jest nakryć szarą kupę biedy
sztandarem łopocącym, gdy wiatr wieje w oczy.
I nie spadnie buczenie jak niebieski edykt,
że wkrótce brzemień nędzy z pleców nam się stoczy.

Ciężkie są szare chwile nieprzejranych zmierzchów,
pod drzwiami dyszy głucho dziewiąta, dziesiąta...
Stefa Karlikiem szarpie. Hanys zły jak szerszeń,
blask się gdzieś pod pułapem samotny zaplątał;

w pokoju bez uśmiechów, po kątach wilki mroku,
myśli się grzeją cicho przy rozpalonym piecyku;
przechodzą wątle słowa, wichura bije w okno,
potem się noc nakrywa ogromną, cichą powieką.
Cienie przychodzą groźne, pazury do ócz,
kopalnia się rozleci jak stary, marny klamor;
cóż więcej pozostało, coś więcej myśleć, coś,
niech serce ciszej, ciszej, o zmierzchu wciąż tak samo.

Braknie pomału węgla jak zabrakło chleba,
trzeba mu będzie z domu gdzieś po fechcie wyjść.
Październik coraz ostrzej za karki zawiewa.
Ciężko Hanysie będzie, trzeba by się zgryźć,
trzeba by chyba nie mieć w duszy ubiegłych lat,
gdy dni do rąk jak łanie cicho przychodziły.
Odrzucić drzewce dumy, wyjść po raz pierwszy w świat?
Och, Boże, daj nam ognia, przetrwania i siły!
A — jednak. Spłynąć dłoniom. Po co je mieć w obłokach,
po co nieznanym bogom protestem groźnym grzmieć.
Pocałuj w gorzkie usta ziemię — twoją opokę,
w tragaczu skiby nieba jak chleb do domu zwieź.

Stefa ma piersi miękkie, zmarszczone, obwisłe.
Karlik wypluwa z mlekiem wrzaskliwe jakieś myśli.
Stefy oczy są blade, z ócz wszystkich najcichsze,
blask ich jednak smakuje jak miąższ dojrzałej wiśni.
Cicho owija dziecko w zamazaną chackę,
szepetem mu w łóżku śpiewa, że Karolinka szła...
Karlik bawi się śpiewem jak brzęczącą graczką, —
hej, Karlik już Karolkę na moście w rękach ma...
Hanys się w pieśń owija. Dzieci słuchają też.
Ale Stefa ma dosyć. Powstaje z westchnieniem.
Za daleko Karolka. Za daleko wieś.
Tu kopalnia jak suka zawarczy przed sienią.

Stefa nie będzie płakać. Hanys też jest winien.
Błyśnie mu w oczy słowem jak zimnym sztyletem.
Przynieś nam bohaterze, łaskę pańską przynieś,
biłeś się wszak o Polskę całe lata przedtem.
Czemu siedzisz, idź do nich, niech ci dadzą żrać,
kopalnia cię wyzbyła, kopalnia — nie Polska;
idź do Niej zasłużony, przed oczy Jej kładź,
że gardła nam wyschnęły jak lipcowe kłóska.

Hanys podkurczył nogi. Stefa w piersiach urosła.
Obłąd ją rozbiczował, burzliwy płacz w nią bił.
Na dzieci słowa spadły jak bezrozumna chłosta.
Hanys nie stawił czoła. Brakło, brakło mu sił.

W okno opadły gwiazdy, potem przywiały mgły,
nad ranem ktoś do kuchni śnieg w rękawach wniósł;

zahucz zadymko, zakręć, pańskim syrenom wyj,
przewiej mi przez poemat jak śnieżący kurz!



Na zebraniu powstańców w rozszumiałej sali
siadł cichutko, spokojnie, niedaleko drzwi.
Mówca gdzieś się porywał. Pięścią o pięść walił.
Mocarstwową jak kolbą wszystkich w piersi bił.
W każdym słowie warczała Polska, Polska i Polska,
potem ciekła ustami jak zmierzła ulewa.
Hanysowi od słów tych w sercu było aż gorzko,
myśli ulatywały mu z drzewa na drzewo.
Potem — powstał cichutko. Grzmot oklasków zahuczał.
Polskę długo wskrzeszaną spoliczkował wrzask.
Hanys, długo milczący, charknął, splunął, zakuczał,
podniósł kołnierz i drzwiami skrzypiącymi trzasł.


Przechodziła ulicą obszarpana wichura,
łatwo było jej, szłądrze, w oczy ludzkie pluć.
Ziemia gdzieś zawracała, kręciła się jak kula,
pięściom chciało się rąbać, ustom chciało się kłać!
I poniosło go wartko zaśnieżoną ulicą;
dawne myśli wróciły, dawne żale zamiotły;
w gardle łąy go drapały, żrące łąy jak płoszczyce,
troski kładły się z hukiem w poprzek drogi, pokotem.

Jak tu Polsce oddawać to, co bywa najświętsze,
kiedy burzę obnosi po arteriach krew,
kiedy pracy spragnione, niespokojne ręce,
zapisują pięściami buntowniczy śpiew.
Ciche wiatry nie wzejdą nad warczącym sercem,
póki szczodra dłoń Matki nie ugłaska lic.
Długo, ciężko się rodzą buntownicze wiersze
ale śmiało furkocą. Więc krzycz wierszu, krzycz!
Niech nie kopcą kominy, niech szyby nie skamlą,
niech się wałą kopalnie — niepotrzebne wspomnienia.
Wierni Tobie jesteśmy, nas wiatry nie złamią,
ale o nas nie wolno, Polsko, zapominać.
W nas tkwią ziarna zwycięstwa. Słuchaj, dumna Warszawo!
Co dzień hałdą zwątpienia rośnie w niebo Śląsk:
tak daleko jest Polska, szkoda patrzeć na prawo,
nie nam Polską jak gruszą w czas owocu trząść!

A więc w domu. Nie poszedł bić po gładkich pyskach,
w sercu wieją mu strzępy biało-czerwonych flag.
Brakło sił. A więc koniec. Niech bieda uciska.
Brakło sił. Koniec zrywów — pustych, najpustszych walk.
Stefa chce coś powiedzieć. Nie ma jakoś odwagi.
Ale Antek mu w serce wycelował: chleb!
Jakże ciężko, Hanysie, cicho przygryzać wargi,

kiedy w piersiach jak jastrząb zakołuje śmiech!
Ręce próżno oplatać. Zaczynają dygotać.
Stefa z dziećmi podnosi przeraźliwy płacz.
Jakieś słowa w nim dziko poczynają się miotać,
jakieś słowa:

„Jest Polska, niech wam Polska da żrać!”




Za hałdami — dalekość. Daleko odpływ pól.
Stamtąd przylecą wiosną pierwsze, śmigłe ptaki.

Czas — poemacie. Usta w pierś horyzontów wtul,
na niebie się odcisnij rozkrzyczanym znakiem.

Niebo jest coraz niższe, można je dotknąć twarzą,
na polach słowa głośniej, może wrony spod nóg.
Tyle jest w dłoniach ciszy, mój przyjacielu, patrz no:
dłonie tęsknią za pracą, dłonie wypala głód.

Za hałdą brak tchu polom. W popłochu. Szary kurz.
Za hałdą można rąbać, węgiel jest całkiem blisko.

Rusz że Hanysie sobą, z kuchni się ciepłej rusz,
jeszcze nie spróchniał kilof, zagrzeje cię stylisko.
Dzisiaj jest w kuchni ciepło; dobrze się stoły palą;
myślałeś, że to węgiel, Stefa nie rzekła nic —
smędom ci zalepił nozdrza, kuchnię skurzył, zakalił;
myślałeś, że to węgiel. Za drogo grzeje piec.



Za hałdą pełno ludzi. Wózki, dziewczyny, dzieci.
Hanys samotnie kopie. Pięć, siedem metrów — szyb — —
— Odnalazł — znowu — węgiel, odnalazł znowu życie,
błogosławiona praca i robotniczy chleb!
Grudzień w podkutych butach udeptał twardo ziemię;
ziemia topnieje w palcach, gdy ją ociskać mocno.
Głębiej jest całkiem dobrze, ziemia jest nawet we mnie,
ziemia i ja, ja w ziemi, dół pachnie świeżą wiosną.
W górze płat wielkiej ciszy, czasem głowa jak ptak,
kilof przyrósł do dłoni jak wierne, czujne zwierzę.
Dawniej czas się odłogiem w sercu przerosłym kładł,
teraz nie trudno myśleć, dzień nawet łatwiej przeżyć.

Na górze Antek czuwa przy pękatym wózku.
Stefa tulejką kręci, owiewa ją ciepło.
Gdy z góry spojrzeć w szybik, wydaje się pusto,
odgłosy cichej pracy nie dojdą, gdzieś krzepną.
Dopiero z kibla można wysypać twarde dźwięki
i wie się, że te ręce, te ręce wciąż, bez przerwy...
Wieczorem wszyscy widzą na dłoniach sine pręgi,
na nogach sine pręgi i krwawe wąskie szczyrby.
Piecyk wieczorem plecie. Można z nim gadać długo.
Nawet sąsiadki teraz przychodzą na hesło.
Już się dzień nie zakończy głośną zwadą, ostudą,
zgoda stanęła twardo jak mosty na przęsłach.
Sprzedali furę węgla na wsi gdzieś, pamponiom.
Za pieniądź tyle szczęścia, nawet przy babie lepiej.
Można rzucić wyzwanie wysokim topolom,
potem Boga ze szczęścia do szynku wziąć, obłapić...
Niechaj dudni kopalnia — obrażona pani,
w nos jej się zaśmiejemy, niech fuczy, co nam tam.
Miała nas wciąż za głupców, zawsze miała za nic,
ona — łokciami dymów o niebo oparta.
Niebo jest coraz niżej, spływa nam do ramion;
przyjdzie czas, że przygniecie kopalnię, przydusi.
A wtedy Bóg i niebo pójdą śmiało za mną,
za mną, Hanysem nieszczęść, najnędzniejszym z ludzi.

Na niebie zasy ciszy. Lekka zadymka gwiazd.
Dalekim siwym brzozom za długo w śniegu stać.
Ulicą kulig świateł. Dęby w śniegu po pas.
W ciemności brzękot sanek — srebrzysty, cichy płacz.
Hanys wychodzi przed sień. Opiera się o cień.
Tyle jest w ciszy szumów i tyle jest gadania;
— czyżby się za chmurami właśnie zaczynał dzień
i czyżby księżyc właśnie gwiazdy w trawę wyganiał —?...
W powietrzu pachnie wilią. Niedługo, za tydzień.

Stefa już dzisiaj myśli, nuciła już kolędy
(— och, czasem się kolędę w czyichś oczach widzi,
czasem zapachnie w świerkach cmentarnych, powiędłych.
Czasem w niedzielę cichą, śnieżystą, pod wieczór,
przy piecu stanie osioł i wół i Dzieciątko;
czasem przez izbę głośno anioły przeleca;
hej, śnieżna, hej, kolęda, hej, Boskie Paniątko!).
U dzieci wilia w oczach. Antek, Maryjka, Gustlik
a nawet Karlik czuje się śnieżniej i radośniej.
Maryjka małą rączką wyszywa coś na płótnie,
w kącie świerczysko wielkie aż pod powałę rośnie.
Hanys pojutrze może znowu furę sprzeda;
dziś nafedrował dużo, aż mu się Stefa zgrzała.
Jakieś tam będą święta, przytłumi się biedę,
nie dał im Bóg za wiele, lecz nie dał też za mało.



Ja — syn podniebnych szybów, ja — syn szarych świtów,
poemat ten zawieszam na piersi jak dzwon.

Do mej dźwięczącej piersi Hanysie głowę przytul,
niechaj ci się dni buntu narodowego śnią.

Jesteśmy sobie braćmi: ja — wicher i ty — wicher,
a z takich szumów przecie urośnie nowy ład.

W Polsce jest coraz głośniejszy, mrok coraz większy czyha,
już cień od naszych kroków na śląską ziemię padł.

Ja — syn podniebnych szybów, ja — syn szarych świtów,
poemat ten zawieszam na piersi jak dzwon.

Pójdziemy, mój Hanysie, z śpiewaniem jak w żyto,
Polskę znajdziemy Nową zaraz za naszą wsią.



Pojutrze przyjdzie wilia. W śnieżyste pojutrze.
Jasność trzepoce w oknie, Stefa dawno nie śpi.
Karlik ma dzisiaj oczy ciemniejsze i słodsze.
Trudno te oczy znaleźć w jakiejś znanej pieśni.
Hanys je gładzi cicho. Och oczka, oczęta...
Melodie ócz dziecięcych są ciepłe i tkliwe.
W łóżku się dobrze myśli. Za dwa dni już święta.
Wilia się oprze wonnym o sufit igliwiem.
Dobrze jest kochać dzieci. Dobrze jest znać ich usta.
Czasem w nich znajdziesz spokój. Czasem pszenną radość.
Kopalnia kłapie gębą, syrena dmie na postrach,
och, jakie to dziś śmieszne, dziecinne i blade.

Z kuchni przebija kawa, A za nią słowa Stefy.
Czas wstać. Za drzwiami czeka wyszczerbiony kilof.
Na oknach mróz roztoczył błękitniejący przepych.
Godziny natarczywie poganiają, pilą.
Do stołu się przysiada skurczona Matka Boska,
wsluchwała się w zegary, zmartwiona jest, nic nie je...

Nie garb mi się, Hanysie, jak słup trzymaj się prosto,
dzień ci do ócz przyskoczy, zakręci ci, zawieje.
Hanysie, myśli w łapę. Śnieg ócz nie zamydli.
Patrz: niebo coraz niższe, jak balon, na konary,
dzień się gramoli z przykop, hałdy dziś jak wydmy,
szybom dziś nie czas szumieć, patrz: dech im zaparło.

Dobrze, że nic nie przeczuł. Miał zdrowe śniadanie.
Drogą nie przeszła dzisiaj niebieska procesja.
Do kolan pełno zimna. Śnieg chlustami walił.
Z basem po sieniach chodził wiatr — zimowy pieśniarz.
Hanys na wózku smoczył długochną drabinę
(którą strzaskanej nodze najłatwiej w ziemię zleźć).
Myśli jak małe flagi na wietrze rozwinął.
Szedł za nim mokrym tropem wózek — potulny pies.

Na hałdach — grom.

Na hałdach nie było wcale ciszy —
— nie może przewiać ciszą, gdzie się opuszcza grom.
Hanys chciał być dziś blisko, samego Boga bliżej,
więc się po czwórnóg śniegiem na wypad hałdy wspiał.

Pod nim — zabrakło — pola — — —
Pod nim — zabrakło — szybów — — — — —

(Wiatr się rozjargał w górze. Minął go, szedł na szago.
Śnieg dymił spod nóg z gwizdem. Kładł się na dole w skiby.
Zaniosło się wrzaskami milczącym, ściętym wargom.)



Było mrowisko ludzi. Nikt nie chciał zrazu wierzyć.
Teraz już prawda, Boże. Ziemię wytargał dynamit.
Powoli śnieg garściami. Ziemia skiołtana leży.
Policja. Spacerują. Ojczyzno, módl się za nami!...
Hanys na ludzi opadł jak flak przeżgany. Osłabł.
Bańtował po gromadkach tabun obłądnych słów.
Policji coraz więcej. Wichura w rękach rosła.
Pięści przyskakiwały do rajcujących głów.
Hanys się ciągnął w śniegu, padał w ramiona wyrw,
nad nimi chodzili ludzie, szukali słów utraconych.
Czasem jest dobrze w śniegu, zwłaszcza gdy w ustach krew;
o! śniegi, o! szybiska, o! wyszarpane zagony!...

Długo przeleżał w śniegu. Nad nim huczała cisza.
Za ciszą powróż policji. Dalej — szemranie głodnych.
Uniósł zachwianą głowę. Hej, niebo coraz bliższe,
hej, coraz cieplej w ziemi, potulnie zmiętej pod nim!
Daremnie szukać oparcia w powietrzu przeźroczyście,
wszystko spod rąk ucieka, hej, ludzie w czapkach z nieba.
Szemraniu coraz to łatwiej urastać w groźne świsty,
lecz ustom nie wyprosić ni węgla ani chleba.
Do domu teraz blisko. Do domu ciężka droga;
na drodze tyle śladów, tyle za ciężkich stóp.
Ślady cię zaprowadzą aż do samego proga.
Chcesz się poskarżyć Bogu.

Za progiem już jest Bóg.

— Za progiem wielka cisza. Bóg milczy. W ciszy strach.
Hanys szeroko patrzy:

Na stole jakieś pismo.

Pod oknem Stefa w dłoniach, Matka Boska we łzach.
Chleb w dzieży, chleb pachnący, chleb rozbuchany kiśnie!

Ręce powoli w papier: Kopalnia. Tyle ciszy.
Stefa zagarnia dzieci w szeroką spódnicę.
— Więc — jutro — już — eksmisja — — —
Wreszcie Bóg z krzyża wyszedł.
Więc jutro. Tak. Bóg stoi. Czy słyszy? Czy słyszy?!...
Bóg stoi w środku izby. Bezradny. Przegięty.
Tak. Jakże dumnie dźwignął Hanys głowę ciężką.
Bóg pewnie cicho szepnie, że cios każdy — święty,
Bóg pewnie słodko szepnie o szczęściu niebieskim.
Niech lepiej wionie ciszą. Tak. Niechaj wszyscy milczą!
Hanysiem teraz trzęsie jak strómem na wietrze.
Niech świat zamilknie cały, kiedy nam dusza krzyczy,
kiedy nas niebo gniecie bliższe, coraz cięższe.

Wypadł słowami na dwór. Uniósł ciszę domu.
(— w tej ciszy miała zakwiść przenajświętsza wilia —)

Słowa ciężały w ustach. Lecz doniósł je, doniósł —
— burza jest zawsze wielka, gwałtowna i silna.

Kopalnia stoi twardo. Nie oprze się słowom.
Ale Hanys ma w ustach nędzę wszystkich biednych.
Przemówi do niej Bogiem, całkiem inną mową,
ukłonią się kominy, szyby zgną się przed nim.

Śmiech mu potrząsa piersią. Śmiech mu wykrzywia ręce.
Hej, wilia na kominach stroi złotą choinkę.
Dajcie mu więcej ramion. Piersi mu dajcie więcej.
Hanys nieszczęście swoje na wietrze wypinka.
Niech patrzą dziwni ludzie. Nic nie ujrzycie w nim.
Hanysie, daj mi rękę, obłęd jest twoim niebem.
Wzbij się syreno w górę, śmiechem się głośnym wzbij,
a potem rzygnij gromem, złotą pierś Boga przebij.
Lećcie ku niemu ludzie. Hanys jest moim bogiem.
Trza przypaść mu do dłoni, do przekrzywionych ust.
To nic, że was odepchnie jątrzący piersi ogień,
to nic, że wam rozwali zbutwiałe głowy but.
Obłęd ukoi życia. Jest błogosławieństwem.
Hanys aż się zatacza, pełno w nim dzisiaj śmiechu.
Myśli, że w pracy szybów jest dziwne szaleństwo,
bo przecież szyb jest tylko najslabszą, marną wiechą.
Dopiero on — Zwycięski, on — Wielki, on — Hanys,
podniesie w rękach szyby, co nigdy nie runą —
zasieje zbożem hałdy śnieżyste, zawiane,
na jego słowo serca jak wici zapłoną.

Niebo jest coraz niżej. Opada, naciska.
Hanys już blisko nieba. O k r a c z a w i e l k i k o m i n ;
(— kominem w górę nieba za ciężko, za ślisko,
gdy obłęd z ust wybucha jak rozgorzały płomień —).
W dole jest pełno ludzi. Słowa zdmuchają czapki.
Ktoś radzi, ktoś przeklina. Na dole zamieszanie.

Pnij się w niebo, Hanysie, nie słabnij mi, nie słabnij,
dzisiaj twój dzień zwycięstwa, dzisiaj triumfowanie!
Śmiech ci rozsadza żebra. Śmieję się Hanysie, śmieję!
Patrz, coraz bliżej niebo. Dokoła ludzie, domy...
Wiej przeziębnięty wietrze, śmiech z ust dźwięczących
zwiej.
Wprzagnij się mu do ramion jak do wiosennych chomąt.

Już całkiem blisko szczytu. Można popatrzeć w dół:
tyle tam śmiesznych ludzi i tyle dziwnych rąk.
Na prawo w domach wilia (miała przyjść też w dom twój).
Śmieszne: dom każdy w śniegu jak białej róży pąk.
Już dotknął ręką nieba. Już z Bogiem twarzą w twarz.
Niebo jest teraz ciężkie. Och! Trudno patrzeć śmielej.
— — Śmiech gaśnie.

W rękach cisza! Groza. Och, Boże! Płaaacz.
Odpycha się ostatkiem podany, gorzki kielich.

Na dole cichy warwas. Na dole szare błyski.

Śmiech pogruchotał piersi. Już nawet brakło głosu.

Ciężko jest piąć się w górę, gdy droga zła i śliska.
Ciężko jest płynąć w niebo. Ramiona to nie wiosła.

Potem — zabrakło — ciszy. Od dołu bechnie wrzask.
Na głowę mu się sypie niebo jak zimny szron.

— Ktoś prędko mokrym torem w górę Hanysa laźł.
Nie doszedł.

Runął Hanys — w ziemię — wiliorny grom.

Czerwionka, grudzień 1937 rok



Wilhelm Szewczyk, poeta, prozaik i publicysta, urodził się 5.01.1916 roku w Czuchowie w rodzinie górnika. Lata dzieciństwa spędził w Czerwionce, niewielkiej osadzie położonej w pobliżu kopalni „Dębieńsko”, w krajobrazie – jak pisał – magicznym, do którego często powracał w poetyckich strofach. Uczęszczał do staroklasycznego rybnickiego gimnazjum, w którym rozwinął swój literacki talent – pierwsze wiersze zamiesz-

czał w szkolnej gazecie – a także znajomość łaciny, greki, języka francuskiego i niemieckiego. W 1937 roku przeniósł się do Katowic, gdzie nawiązał kontakty i przyjaźnie z pisarzami i krytykami literackimi, ze Z. Bednorzem, Z. Hierowskim, J. Zarembą, a także z pismem „Kuźnica”. W listopadzie 1938 roku powołał do życia pismo kulturalne „Fantana”, wokół którego w krótkim czasie skupiło się grono młodych, zdolnych twórców z Górnego Śląska, z Cieszyńskiego, z Opolszczyzny, Czech i Słowacji.

Zadebiutował w 1938 roku poematem o losie bezrobotnego górnika pt. *Hanyś*. Jego kontynuacją był poemat *Noc*, który powstał w czasie drugiej wojny światowej.

Po wojnie wrócił do Katowic i od razu włączył się w odbudowę życia kulturalnego w mieście. Kierował powstałym w 1945 roku Studium Dramatycznym, redagował tygodnik literacko-społeczny „Odra” (1945-1950), kwartalnik „Zeszyty Teatralne” (1948-1950), a po kilkuletniej przerwie tygodnik społeczno-kulturalny „Przemiany” (1956-1957) i dwutygodnik społeczno-kulturalny „Poglądy” (1962-1981).

Wilhelm Szewczyk jest autorem kilku tomów poezji, w tym zbioru *Posęgi* (1945) i *Zima boi się drzew* (1959) oraz kilkunastu powieści o tematyce śląskiej, np. *Kleszcze* (1951), *Skarb Donnersmarcków* (1956), *Ptaki ptakom* (1967), *Gadzi raj* (1969). Opublikował zbiory esejów (np. *Trzyście portretów śląskich*, 1953, *Syndrom śląski*, 1986), felietony podejmujące problemy niemcoznawcze (np. *Co robią Niemcy*, 1969), gawędy telewizyjne (*Z dymkiem cygara. Gawędy telewizyjne*, 1991), monografie naukowe (*Literatura niemiecka XX wieku*, 1962), liczne studia i szkice o literaturze norweskiej, fińskiej i literaturach krajów słowiańskich, tłumaczenia poezji niemieckiej, łużyckiej i macedońskiej.

Zmarł 8.06.1991 roku w Katowicach. W pamięci czytelników pozostanie jako twórca związany miejscem urodzenia i działalnością artystyczną ze Śląskiem, jako literat miłujący kulturę małych narodów, w tym kulturę Łużyczan i jako autor wybiegający swoją pisarską wizją w stronę nowej Europy, Europy bez granic i Europy regionów.

Partnerzy wydania:



Wydawnictwo Górnicze Sp. z o.o. wydaje czasopisma i książki; proponuje również inne formy współdziałania: patronaty, szkolenia, przygotowanie konferencji, konkursów i innych wydarzeń specjalnych.



Kompania Węglowa SA jest największą firmą górnictwa węgla kamiennego w Europie. Prowadzi działalność zgodnie z najwyższymi standardami rzetelności i etyki biznesowej. KW SA wdrożyła zintegrowany system zarządzania zgodny z wymogami norm ISO 9001:2000 oraz ISO 14001:2004, co pozwala sprostać wyzwaniom przyszłości.



Katowicki Holding Węglowy SA to największy pracodawca w Katowicach, zapewniający wraz z firmami bezpośrednio kooperującymi ponad 26 tys. miejsc pracy. Jako spółka prowadzi działalność gospodarczą na terenie Katowic, Mysłowic, Sosnowca i Rudy Śląskiej, wpisując się znacząco w strukturę społeczno-gospodarczą regionu.



FUNDUSZ GÓRNOŚLĄSKI
SPÓŁKA AKCYJNA

Od 1995 roku Fundusz Górnośląski SA działa na rzecz rozwoju gospodarczego i tworzenia nowych miejsc pracy w naszym regionie. Obecnie oferta Funduszu Górnośląskiego obejmuje konkurencyjne wobec banków pożyczki dla małych i średnich przedsiębiorstw oraz osób rozpoczynających działalność gospodarczą.

Katowicki Węgiel™



Katowicki Węgiel Sp. z o.o. jest producentem kwalifikowanych paliw węglowych EKORET® oraz EKO-FINS®. Posiada również w sprzedaży mieszanki energetyczne.



G I G

Główny Instytut Górniczy jest światowym liderem badań w obszarze bezpieczeństwa pracy w górnictwie. Realizuje wspólne projekty międzynarodowe, współpracuje z licznymi instytucjami badawczymi i przemysłowymi z całego świata. GIG posiada jedyny w Europie unikatowy poligon doświadczalny Kopalni Doświadczalnej „Barbara”.



Jastrzębska Spółka Węglowa SA jest największym producentem węgla koksowego w Polsce – wydybawa to, co najlepsze.